

Konrad Górski

Uwagi o książce Aleksandra Fredry "Trzy po trzy"

Rocznik Towarzystwa Literackiego imienia Adama Mickiewicza 11, 25-41

1976

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

I. ROZPRAWY NAUKOWE

Konrad Górski

UWAGI O KSIĄŻCE ALEKSANDRA FREDRY TRZY PO TRZY

Specjaliści od teorii gatunków literackich są zapewne w wielkim kłopotcie, do jakiego typu utworów zaliczyć tę przebogatą treściowo i uroczą garść wspomnień, którym autor nadał przekornie i żartobliwie tytuł: *Trzy po trzy*. Znamy to przysłowiowe wyrażenie, będące częścią zwrotu: „pleść trzy po trzy”, co ma oznaczać czyjaś beładną gadaninę, pozbawioną głębszego sensu i wewnętrznej więzi. Gdyby pominąć ową pozornie lekceważącą ocenę własnego dzieła przez autora i dopatrywać się w wyborze tytułu żartobliwej charakterystyki sposobu opowiadania, zastosowanego w tym utworze, uznalibyśmy trafność tytułu zapowiadającego swobodny tok kojarzenia wspomnień bez jakiegokolwiek troski o chronologię i układ kompozycyjny.

Albowiem treść dzieła, które pragnę tu zwięźle omówić, podana w innej kolejności szczegółów faktograficznych, mogłaby stanowić pamiętnik opisujący naprzód dzieciństwo autora na tle ówczesnych stosunków społecznych i obyczajowych, jego wychowanie i wykształcenie, historię wkroczenia wojsk Księstwa Warszawskiego do Galicji w 1809 r., obraz ówczesnego społeczeństwa polskiego w zaborze austriackim, wstąpienie autora do wojska polskiego, obszerną charakterystykę tej formacji wojskowej, pewne szczegóły wojny 1812 r., dzieje niewoli autora i jego ucieczki, ponowne wstąpienie do armii polskiej, walczącej u boku Napoleona, wydarzenia lat 1813-1814 aż do kapitulacji cesarza Francuzów i przejścia resztek wojska polskiego pod rozkazy Aleksandra. Ale na przekór chronologii opowiadanie zaczyna się od wydarzeń 1814 r. (bitwa pod Montereau), stopniowo wysunie się na plan pierwszy historia 1809 r., aby skupić wreszcie uwagę czytelnika na dzieciństwie i wczesnej młodości autora. Jest to więc jakieś poszukiwanie utraconego czasu, poczynając od końcowych momentów udziału autora w epopei napoleońskiej, a na

wczesnych latach jego życia kończąc. Ogromne bogactwo wspomnień o wydarzeniach historycznych i o głównych osobistościach owej epoki jest zarazem okazją do przekazania wielu refleksji będących owocem moralnego doświadczenia autora, jak również wielu głębokich osobistych wzruszeń, związanych z przeżywanymi zdarzeniami. Niezmiernie liczna jest wreszcie galeria różnych ludzi, zapisanych w historii i niezapisanych w niej, z którymi autor się w życiu zetknął i o których ma różne rzeczy do powiedzenia.

Tak podane wspomnienia i refleksje spisał człowiek, oceniający zarówno wydarzenia historyczne, jak i przeżycia osobiste z dystansu swoich lat dojrzałych. Niemal na początku dzieła tak mówi o sobie samym:

„Może to i prawda, że kto siwieje, ten traci duszę, jakby mu ją kto łupał trzaska po trzasce, tak że na koniec zupełnie bez niej zostanie... Może prawda, że rozwaga tylko hamuje, doświadczenie tylko płacze niepotrzebnie... Może prawda, że krew młodością wrzaca jest jedną i jedyną dźwignią wszystkiego, co dobre i wielkie [...]. Może nareszcie i to prawda, że tylko głupcy, próchna, stare peruki, szlafmice pytają, jaki czego koniec być może. — Tak jest, wszystko to mogą być prawdy, ale mnie wolno tym prawdom nie wierzyć. Lubom przeszedł pięćdziesiątkę, żał mi abdykować praw człowieka, już bym skłonił się raczej włosy sobie poczernić.” (s. 72) ¹

Dlaczego te wspomnienia spisał? — Jak sam wyznaje, kiedy po skończonych wojnach znalazł się w domowym zaciszu, nie chciał wracać pamięcią do bolesnych przeżyć niedawnej przeszłości, a zapytania w rodzinnym kole zbywał krótką odpowiedzią. Chciał zamknąć księgę przeszłości, a zwracać tylko uwagę na niezapisane stronicę, błyszczące białością, przyszłej drugiej księgi życia. Ale po latach zmieniła się perspektywa: białych stronic znalazło się niewiele, a zapisane ciągną ku sobie (s. 97). Dobitnie to wyraził w zakończeniu książki:

„O Czasie! Ty okrutne Bożyszcze, ty ryjesz coraz głębiej piętno gorzkiego cierpienia — boleści duszy zdajesz się mnożyć, a ślady rozkoszy i szczęścia zasuwasz, zaciemniasz, ściskasz w punkcik ledwie dostrzeżony. Jakże dobrze pamiętam moje noclegi w moskiewskich zaspach! Jak pamiętam ledwie nie każdy krok mego konia, pchanego w lody Berezyny. Jak pamiętam nędzę niewoli! Jakże mocno wspomnienie pierwszej tam jałmużny czerwieni jeszcze czoło moje. A pamięć chwil uroczych, chwil błęgiego rozmarzenia, nadziei, zapału, wolności, życia młodego, szczęścia — leży jak węzeł spleciona w głębi serca, a nie ma już siły rozwinąć się w słowo...” (s. 209)

Jednakże uleganie wewnętrznemu przymusowi, aby spisywać swe wspomnienia, przysparza nowy, nieoczekiwany cierń. Autor ma świadomość, jak wiele własnych przeżyć dzielił z ukochanymi, starszymi braćmi, Maksymilianem i Sewerynem. Stąd gorzkie rozważania:

„Jak smutno samemu w przeszłość spoglądać... Zacząłem pisać, myśląc, że się kiedyś zejdziemy, że wam czytać będę to, co dobrze wiecie, tak jak to zwykło się mówić: P a m i ę t a s z?... Wszystko, wszystko przypomniałobyście sobie, bracia moi, przypomnieli z rozkoszą... Ale was już nie ma, a ja nie mam do kogo powiedzieć: C z y p a m i ę t a s z?” (s. 144 - 145) ₁

Każda rzetelna twórczość zmusza do wysiłku i łączy się nieraz z bólem i cierpieniem autora, ale nie wiem, czy wiele znalazłoby się w literaturze światowej dzieł, które by za zasłoną żartobliwego tytułu przekazywały taki ogrom bolesnej treści, jak Fredry *Trzy po trzy*. Tym większą czujemy dla autora wdzięczność, że coś tak wspaniałego w swej spuściźnie pisarskiej nam pozostawił.

Fredro brał udział w wypadkach lat 1809 - 1814 nie jako prosty żołnierz, lecz zrazu jako podporucznik, w kampanii 1812 r. jako adiutant major pułku strzelców konnych, a w chwili, gdy zaczyna swoje opowiadanie, jako oficer sztabowy w sztabie Berthiera, księcia de Neufchâtel, który ze swej strony należał do sztabu Napoleona. Zajmowane stanowiska pozwoliły mu przyjrzeć się z bliska technice ówczesnego prowadzenia wojny, nie oczekujemy więc od niego opisu bitew w rodzaju relacji Paszkowych, albo obrazów skreślonych w *Ogniem i mieczem*. Fredro ostrzega czytelnika, że jeżeli jaki oficer subaltern zdaje sprawę z ogólnego ruchu jakiej batalii jako naoczny świadek i sędzia, ten kłamie niezawodnie, bo może on tylko widzieć, co się dzieje przed nim i to na jego bardzo ciasnym horyzoncie. Nawet oficer sztabowy, który z rozkazami przebiega pole boju w różnym kierunku, nie znając pierwotnej pozycji i szyku, o szczególnych tylko zdarzeniach może otrzymać własne, naoczne przekonanie. Stąd np. wszystko, co Fredro pisze o bitwie pod Borodino, ogranicza się do następującej relacji:

„Całą noc przed dniem bitwy pod Możajskiem (którą Francuzi zowią de la Moscova, a Rosjanie pod Borodino) staliśmy w przedniej straży, cugle w rękę — równo za dniem wstąpiliśmy do boju — słońce zachodziło, kiedy cisnąc się krzakami uderzyliśmy na lewe skrzydło nieprzyjaciela — a ciemno już było, kiedy wróciwszy na plac bitwy zsiadliśmy z koni. Zaświeciły się ognie pomiędzy ciepłymi jeszcze trupami. Spoczął każdy, ja tylko przy świeczce trzymanej pod płaszczem kreśliłem moje raporta.” (s. 125 - 126)

Do pisania owego raportu był obowiązany jako adiutant major swego pułku, co zaliczał do najnieznośniejszych zadań związanych z jego stanowiskiem.

Toteż nie batalistyka jest główną zawartością tych kart utworu, które są związane z wydarzeniami historycznymi. Fredro miał okazję zetknąć się osobiście z wielkimi ludźmi ówczesnej epoki, a że — mówiąc słowami Bernarda Shawa — istnieją wielcy wśród wielkich i wielcy wśród małych, więc autor *Trzy po trzy* ma mnóstwo do powiedzenia o jednych i o drugich, dzięki czemu jego dzieło staje się w wielu szczegółach może jedynym źródłem historycznym, komunikującym o pewnych nieznanych szkodliwych faktach.

Nie tyle z wieku, co z urzędu zaczynamy od Napoleona. Fredro wie i podkreśla nawet, że Polacy go ubóstwiali, więc i po jego powrocie z Elby wstępował do nowo zbierających się hufców pod odrodzonym ce-

sarskim orłem (s. 134), ale sam tego entuzjazmu zgoła nie podziela. Z całą trzeźwością widzi cyniczny egoizm cesarza Francuzów w stosunku do Polski i wielokrotnie daje temu wyraz. Zaznacza, że każdy najprostszy żołnierz zdawał sobie sprawę z następstw klęski pod Lipskiem. Była to powtórna utrata ojczyzny. Ale:

„nie wiedzieliśmy, że Napoleon najłatwiej zawsze przyjmował warunek wrócenia jej w potrójne jarzmo niewoli. Piekielna obłudno! Szatańska polityko! Tyle poświęcenia, tyle krwi przyjmować za nadzieje, których w głębi serca nie myśli się spełnić. Skrępował nas tym Księstwem Warszawskim, tym królem saskim, i kiedy pozbawił wszelkiej samodzielności, jak martwą swoją własnością był zawsze gotów rozrządzić. Biada człowiekowi, którego los zawisł od drugiego, ale dwakroć biada narodowi, co zawisł od interesu innego narodu! Narody sumienia nie mają.” (s. 79)

Tak oceniając z perspektywy lat stosunek Napoleona do Polaków Fredro nie komunikuje nam o nim wiadomości, które by budziły naszą sympatię. Nie ulega wątpliwości, że cesarz przemawiając nawet do osobistości najwyższej w armii postawionych używał wyrazów wulgarnych, trudnych dla historyka do powtórzenia (jak mówi Fredro), a tym więcej do przetłumaczenia. Po bitwie pod Montereau odebrał dowództwo korpusu marszałkowi Victorowi, a uczynił to w słowach, które, gdyby je oddać w wolnym naśladowaniu, brzmiałyby zapewne po polsku: „Idź do diabła” (s. 71). Z nieskrywaną satysfakcją opowiada też Fredro, jak to podczas bitwy pod Montereau Napoleon sam wymierzył jedno działo. A jak to zrobił? —

„Chcąc wyrazić doskonałość jakowej czynności, mówią zwykle: zrobił to lub owo jak król! Ale źle mówią ci, co tak mówić zwykli, bo nie tylko król, ale cesarz i król w jednej osobie wymierzył, strzelił... i chybił. Kula padła przed linią nieprzyjacielską. Utrzymują wprawdzie niektórzy, że dobrą dał dyрекcją... Być może... ale ja nie rezonując jako artylerzysta powiadam *simpliciter*, com widział, że Jego Cesarska Mość spudłowała na pięknie”. (s. 71 - 72)

Krótką, ale wymowną wzmiankę poświęcił Fredro Muratowi. Jest to fragment relacji o poleceniach, jakie oficer sztabowy pełnił podczas bitwy pod Lipskiem:

„Posłano mnie uwiadomić króla neapolitańskiego, że brygada młodej gwardii wzmocniła księcia Poniatowskiego. — No, już to wyznać muszę szczerze, że kto w czasie boju szukał Murata, temu zimno być nie mogło. Ten człowiek lał w ogień i szukał guza *con amore*”. (s. 96)

Jakoż to poszukiwanie Murata było jednym z czterech wypadków, kiedy śmierć najbliższej zajrzała w oczy autorowi, rozumie się — jak zaznacza Fredro — od kuli armatniej, „bo karabinowych ktoż spamięta, co brzęczą, gwizdzą, szumią jak chrząszcze na wiosnę” (s. 95).

Opowiadanie Fredry obfituje w liczne szczegóły, dotyczące wybitnych osobistości ówczesnej armii francuskiej, ale nie będziemy tutaj tego rodzaju informacji przytaczać. Istotna jest tylko refleksja, która stanowi podsumowanie dorobku dziejowego epoki napoleońskiej:

„Gdzież jesteście zwycięskie roty? Wodzowie? Gdzie jesteś, potęgo, dla której strumieni krwi lało się tyle? Zwycięzcy i zwyciężeni, upokorzeni i tryumfatorzy znikli jak słońce, co zaszło przed chwilą, jak zniknie świeca, co stoi przede mną. — Cóżście po sobie zostawili światu? — Niewiele, niewiele.” (s. 86)

Skupmy więc uwagę na tym, co Fredro nam komunikuje o polskich uczestnikach ówczesnych wydarzeń. Na czoło wysuwa się oczywiście postać księcia Józefa Poniatowskiego. Fredro nie przyznaje mu wybitnych zdolności jako wodzowi, i była to wówczas opinia powszechna, ale stwierdza, że pociągał silnie ku sobie serce żołnierza. Zachwycał wszystkich odwagą, postawą, ruchem, sposobem wyrażania się — wszystko było w nim czysto narodowe:

„Na dzielnym koniu, dzielny jeździec, niezgiętego męstwa, świetnego honoru, pięknej postaci, wąs czarny, czapka na bakier, był ideałem polskiego wodza. Gdyby był nad brzegiem piekła krzyknął: Za mną dzieci! — w piekło skoczono by za nim. W innych zaś chwilach życia urzeczywistniał wyobrażenie wyniosłych, czystych i pięknych cnót rycerstwa... — Wejrzenie jego było nad wszelkie pojęcie ujmującym, głos przyjemny, uśmiech pełen duszy, pełen wymowy, ten, kogo nim obdarzył, zdawał się słyszeć słowa pociechy i zachęty: Znam cię... dobrze, bracie! Honor i Ojczyzna.” (s. 138)

Fredro wiedział, jaką rolę odegrali niektórzy uczestnicy wojen napoleońskich później, w powstaniu listopadowym, i pewnymi szczegółami przygotowuje nas do tego, co miała ujawnić przyszłość. Bardzo charakterystyczny pod tym względem jest opis rewii, podczas której resztki wojska polskiego — już oddane pod komendę Księcia Konstantego — miały defilować przed cesarzem Aleksandrem:

„Na całej linii panowała głucha cisza, a kiedy później generał Krukowiecki krzyknął: — Niech żyje cesarz! — słabe tylko obudził echo. Komu tylko prawe serce biło pod polskim jak i rosyjskim mundurem, ten musiał bolesnego doznać uczucia, słysząc ten okrzyk, w którym szczerości, Bogu dzięki, być nie mogło. Gdyby był szczerzy, byłby razem i podły. — Zrobiliśmy kilka obrotów. Dwernicki także nie bardzo á propos kazał obejść oddziałowi swoich krakusów i z okrzykiem natrzeć z tyłu. — Na kogo? — Niby na nieprzyjaciela, ale sztab rosyjski zanadto dobrze jeszcze go udawał, dlatego zdaje mi się, miarkując po twarzach, że ta niespodzianka nie najlepsze na wszystkich zrobiła wrażenie. Niejeden może spytał się w myśli: czy to żart, czy to prawda? — ... Potem było śniadanie u generała Krasieńskiego (o którym jak o Ryczywole zamilczeć wolę — to jest o jenerale).” (s. 88)

Sporo miejsca poświęca Fredro generałowi Roźnieckiemu, jako doskonałemu kawalerzyscie i świetnemu dowcipnisiowi, ale nie kryje z goryczą, że nikt w armii polskiej za czasów napoleońskich nie przeczuł wówczas jego haniebnego końca.

Ale cokolwiek by się czytelnik dowiedział o charakterze i postępkach tych czy innych jednostek, wszystko to błędnie wobec obserwacji, jakie Fredro porobił na temat psychologii zbiorowej narodów. A miał kontaktów różnych sporo zarówno ze sprzymierzeńcami, jak i z przeciwnikami. Zacznijmy od Francuzów, bo tu miał najwięcej do powiedzenia.

Stwierdza więc opisując jeden incydent bitewny, że Francuzi bili się z honorem i męstwem tak, jak się Francuzi bić zwykli (s. 109). Nie ma dość słów podziwu dla bohaterstwa saperów francuskich, gdy naprawiając załamane mosty na Berezynie wstępowali w lody tej rzeki i życie swoje za pomost kładli. Wiedzieli, że zginą, ale nie cofnęli kroku, choć nie mieli do wzniesienia swojej odwagi nawet oporu nieprzyjaciela. Ale najważniejsza obserwacja, jaką czyni, brzmi wręcz rewelacyjnie, zwłaszcza dla nas, którzy patrzyliśmy na klęskę Francji podczas drugiej wojny światowej. Fredro pozwala zrozumieć, dlaczego armia francuska w 1940 r., świetnie uzbrojona i chroniona linią Maginota, tak łatwo uległa ofensywie niemieckiej. Píše tak:

„Żołnierz francuski, dzielny w boju, rzadko kiedy wypełnia rozkazy jako ślepa część całości, ale zawsze jako myślące indywiduum. Nikt nie zgadnie, w ilu francuskich tornistrach leży patent na pułkownika, generała albo marszałka. W armii francuskiej nie ma żołnierza, który by, tak jak w rosyjskiej lub austriackiej, uważał rangę oficerską za niepodobną do osiągnięcia. Ale ta sama indywidualność chwalebna w boju, gdzie zwykle więcej dusza niż ręka zwycięża, staje się w obozie i w marszu, zwłaszcza odwrotnym, trudną do ujęcia w karby dyscypliny zapewniającej trwałość szeregom. Wojsko francuskie trzeba aby szło z boju w bój, inaczej rozplywa się, niknie nie tyle w ogniu, ale przez ciągłe odstępowanie sztandaru w celu osobistej korzyści.” (s. 165 - 166)

Uzupełnieniem tego spostrzeżenia jest informacja, że Francuzi odznaczają się jakąś pasją niszczycielską:

„więcej niszczą niż biorą lub brać lubią. W domach tłuką co mogą. W stodołach ognie zakładają. Gdzie łan zboża, wjeżdżają w środek, więcej wytluką niż spasą, niepamiętni, że może za parę godzin ich własne wojsko furazu tam szukać będzie.” (s. 93)

Z ironią stwierdza Fredro ich zarozumiałość. Jak wiadomo, koło roku 1830 Francja dokonała podboju Algieru i autor *Trzy po trzy* wybiegając w przeszłość zaznacza, że Francuzi zawsze wszystko najlepiej wiedzą, i teraz nawet w Algierii Arabów uczą po arabsku (s. 109).

Świetnym dopełnieniem charakterystyki Francuzów jest porównanie ich z kozakami, bo tym mianem nazywa Fredro rosyjską konnicę:

„Dla Francuza kozak jest najnieznośniejszy. Francuz mówi do kozaka: — Daj mi zgotować moją zupę, bo bez zupy obejść się nie mogę, a potem bić się z tobą będę, póki zechcesz. — Kozak zaś odpowiada: — Bić się nie lubię i nie będę, ale nie dam ci ani jeść, ani spać póty, póki strudzonego nie chwycę bez niebezpieczeństwa. — Francuz lekkomyślny, kozak roztropny. Francuz nie dba i o życie, jeżeli je ciągną strażą i ciągłym postem chronić trzeba. Kozak i trzy dni jeść nie będzie. Byle miał kawał chleba, nie stoi o gotowaną strawę, wszystko zniesie, byle niebezpieczeństwa uniknąć. Francuz porzuca swoją kolumnę, idzie sam nie wie gdzie i którędy powróci. Kozak ma niepojęty talent orientowania się, nigdy nie zapaści się tam, skąd cofnąć się nie można.” (s. 166)

Wynikiem tej różnicy charakterów było, że wojsko francuskie, nieustraszone w boju, lękało się napaści kozaków, a słowo: *Cousaques*, jeśli się rozległo, jako okrzyk ostrzegawczy, wywoływało panikę: podczas od-

wrotu Francuzów spod Moskwy kozacy na lekkich koniach, nawykłych wraz z nimi do zimna i głodu, łatwą mieli sprawę z dezorganizowanym i rozłażącym się we wszystkie strony przeciwnikiem.

Paralela: Francuz — kozak, niejednokrotnie wypada na korzyść tego ostatniego i pod względem moralnym. Fredro przyznaje, że Rosjanie mieli powodów do zemsty niemało, a jednak — jako jeniec — wyjąwszy pierwsze zetknięcie się, na ubliżające obchodzenie się żalić się nie mógł. Zwłaszcza starzy kozacy, obdarłszy pierwiej, to się rozumie, i przeciągnawszy raz nahajem, byli potem dla jeńców z tym poszanowaniem, jakiego nieszczęście głośno się domaga, a którego Niemcy zupełnie nie rozumieją. Natomiast Francuzi odnoszą się do jeńców ze skrajnym egoizmem: żaden nigdy nie znieważy jeńca, ale gotów dać mu umrzeć z głodu.

W przeciwieństwie do tego wizerunku duchowego, jaki Fredro daje o Francuzach i Rosjanach, ocena Prusaków jest krótka i wymowna: „Prusak znieważa osoby, jak tylko może to bezkarnie uczynić — zemsta w nim goruje. Prusacy są ludzie, o których mówią: *qu'ils crachent sur le cadavre*” (s. 93). Gdy pod Vitry ułani polscy wzięli do niewoli cały podjazd pruski, w mgnieniu oka Polacy złożyli kilkadziesiąt franków dla jeńców. Oficer przyjął je z większym zdziwieniem niż wdzięcznością, bo Prusak dla podobnego stosunku do człowieka nie ma najmniejszego zrozumienia (s. 104).

Wymieniony przed chwilą incydent pozwala nam przejść do rozważań Fredry nad naszym charakterem narodowym. Mściwość nie jest naszą cechą i w tym punkcie zbiegają się w jedno spostrzeżenia autora *Pana Tadeusza* i autora *Zemsty*. W przeciwieństwie do Francuzów Polacy posuwają dawną szlachetność rycerską ledwie nie do zbytku. Dla Polaka zwyciężony i bezbronny jest świętą, nietykalną osobą. Zaledwie pierwszy zapal ostygnie, podzieli się z nim wszystkim, co posiada, wypiłby z nim i „kochajmy się”, byle było czym (s. 104).

Cecha ta ma jednak swoje niebezpieczeństwa, jeśli naród znajduje się w niewoli. Polak będąc z nieprzyjacielem łatwo o nieprzyjaźni zapomina. Idea dziedzicznej zemsty, tak częsta u innych narodów europejskich, jest dla Polaka męczącym uczuciem. Wynikającemu stąd niebezpieczeństwu Fredro chciałby przeciwstawić pewną moralną postawę narodu ujarzmionego w stosunku do ujarzmieli. Jego zdaniem Polak

„w stosunkach zaś ze swoimi władzami zachowywać się musi tylko biernie, s:ac zawsze przed nimi jak kamień grobowy zamordowanego, jak opoka, której nie zmiękczą pieszczotliwe słowa albo rozgrzewają lubieżne uściski... Kajdany i uśmiech znać się nie powinny.” (s. 207)

Słowa te zostały podyktowane przez obserwację, że w zaborze austriackim szlachcie polskiej, dawnym senatorom Rzeczypospolitej i elek-

torom królów, rzucono różne szychowne grafostwa, baronostwa, szambelaństwa — wiatrem nadęte pstrokate pęcherze, których nie ceni ten, co daje, wstydzi się ten, co bierze, a drwi, kto w Boga wierzy. Arystokracja w Galicji jest słowem bez treści, jest klinem wbitym między większość szlachecką i tych, co za arystokrację chcieliby uchodzić (s. 207).

Tu dotyka Fredro jednego z najcięższych problemów naszego życia w epoce niewoli, a mianowicie trudności zespolenia się szlachty z innymi warstwami naszego społeczeństwa w jedno ciało narodu. Szlachta nie chciała szukać nowych źródeł potęgi za ciasnym, aczkolwiek bohaterskim zakresem szlachectwa, nie starała się, jak niegdyś, tak i teraz, stopić się z ludem w jedną całość. Te refleksje zostały podyktowane zarówno reakcją społeczeństwa galicyjskiego na wejście wojsk polskich do Lwowa w 1809 r., jak i wnioskami, jakie Fredro wysnuł w późniejszych latach z przebiegu powstania listopadowego (s. 205 - 206).

Marzeniu swemu, aby szlachta zbratała się z ludem, dał wyraz w scenie, która jest czymś pośrednim między poetycką fikcją i wspomnieniem rzeczy naprawdę przeżytej. Było to w 1809 r., gdy jako szesnastoletni chłopiec jechał chłopskim wozem w kierunku obleganego przez wojsko polskie Sandomierza, aby się zgłosić do polskich szeregów. Cisza lasów i powolne tempo jazdy uspiły wreszcie zarówno woźnicę, jak i młodego pasażera; Fredro snuje swoje wspomnienie:

„I kto wie, czy sny nasze, wyparte z przeciwnego, a przynajmniej z nierównego usposobienia duszy, z tak odległych od siebie uczuć nie spływały w świecie uludy w jaki jeden wspólny zakres. Może mnie śniło się, że sparłem się na chłopku jak na bracie. Może on marzył, że jał mnie w objęcie jak brata, że z ufnością w łączne siły spoglądaliśmy spokojnie w jutrzenkę, co ponad odłogi, zwałiska, cmentarze ozłaczała nowe, nowego kształtu budowy.” (s. 141)

Rozważania Fredry o polskim charakterze narodowym uzupełnijmy wreszcie pewnym spostrzeżeniem, które znowu zbliża *Trzy po trzy* do *Pana Tadeusza*, aczkolwiek nie ma tu mowy o jakiejś genetycznej zależności jednego dzieła od drugiego, tylko zbieżność podytkowana wiernym odtworzeniem rzeczywistości:

„Zarzucają Polakom, że są niesforni, że trudno nimi rządzić. Mnie się zdaje, że bardzo łatwo, byle rządzić z konia i z szablą w rękę. Więcej natchnienia niż rozważgi zwykliśmy słuchać. Zgromadzamy w jedną osobę wszystkie nasze wymagania, całe nadzieje nasze, w niej zamykamy całą sprawę. Czynimy ją poniekąd fatum naszym. Nim był Kościuszko, Poniatowski i charakteru tylko Chłopiczkiemu, a talentu Skrzyneckiemu nie dostawało, aby się utrzymać na szczycie, na które ich barkami narodu parło przeznaczenie. Dlatego to każdy upadek podobnej gwiazdy roztopia od razu łączący nas cyment, ogół rozkłada się w cząstki. Rozumowania wyradzają się w zatargi i trwają, póki jaka nowa iskra nowego entuzjazmu nie zapali i na nowo nie zacznie lutować. Nie mamy w sobie wielkiej wzajemnie przyciągającej się siły, przeciwnie, antyłączne usposobienie jest główną naszą wadą... Dlatego gwałtowny tylko wir może łączyć rozstrzelone siły.” (s. 135)

Punktem wspólnym tych rozważań z fabułą *Pana Tadeusza* jest stwierdzenie, że natychmiast wydobywamy z siebie zdolność do szybkiego i zorganizowanego działania, gdy jego cel jest bliski i jest ktoś, kto ów cel może zbiorowości polskiej sugestywnie narzucić. Wiadomość: „Niedźwiedź, mospanie” wprawia soplicowskie grono w błyskawiczne przygotowania do wyprawy, której wodzem obrany zostaje bez jakiegokolwiek uprzedniej dyskusji Wojski, jako ten, co w sprawach polowania cieszy się niezachwianym autorytetem najbliższego otoczenia. Na odwrót — projekt zorganizowania akcji zbrojnej na tyłach armii rosyjskiej, wymagający czekania na odległą na razie chwilę, wielu przemyśleń i przygotowań, zostaje porzucony pod wpływem demagogicznej przemowy Gerwazego na rzecz łatwego i bliskiego do zrealizowania celu: „Hajże na Soplicę.” Oczywiście to, co Fredro ujmuje w ramy wydarzeń historycznych, zostaje pokazane w *Panu Tadaszu* w mikrokosmosie zaściankowych spraw i konfliktów w zapadłym, prowincjonalnym środowisku, ale sama istota przejawiającej się w obu wypadkach cechy narodowego charakteru pozostaje ta sama.

W dotychczasowych uwagach o *Trzy po trzy* zostały uwydatnione elementy treściowe, dotyczące najbardziej istotnych zagadnień ówczesnych wydarzeń dziejowych. Omówić wszystko, co Fredro w tym zakresie daje, nie jest rzeczą możliwą w krótkim studium, którego celem ma być uwydatnienie wyjątkowej wartości tego dzieła, ale nie omówienia całej jego zawartości. Poprzestanę więc na wymienieniu, że utwór Fredry przynosi bardzo wiele cennych uwag o tworzeniu się armii Księstwa Warszawskiego, wstrząsający opis niedoli jeńców przetrzymywanych w Wilnie po rozbiciu armii Napoleona wycofującej się z Rosji, wzruszające wzmianki o mieszkańcach Wilna, którzy starali się ulżyć los owym jeńcom, ocenę kampanii 1809 r. i wiele innych spraw szczegółowych, których tu omawiać nie sposób.

Przejdźmy zatem do tych kart, na których autor starał się utrwalić wspomnienia swego dzieciństwa i obraz swej domowej ojczyzny. Adresując niekiedy te rzeczy do własnych dzieci tłumaczy się przed nimi, że pisze o sprawach, które mogą ich nie interesować:

„Ale co to was obchodzi może, moje dzieci, co obchodzi kogokolwiek, że niegdyś, gdzieś w Nienadowy [majątność ojca matki autora] tlało jakieś życie przez lat dziewięćdziesiąt spokojnym płomykiem, że zgasło jak nocna lampa bez śladu i odgłosu? Co to obchodzić może? A jednak wam opowiadam... Ach, więcej ja do siebie niż do was mówię. Przebaczenie egoizmowi, bo to tak miło, tak lubo wparzeć się czasem w jaką gwiazdeczkę, co nam gdzieś z dalekiej przeszłości zdaje się przymrużać przyjaźnie.” (s. 179)

Tak się usprawiedliwiał autor *Trzy po trzy* przed swymi dziećmi, ale my zawdzięczamy jego egoizmowi tyle plastycznych obrazów domowego życia ówczesnej szlachty, tyle przepysznych sylwetek ludzkich, różnych

provincialnych oryginałów, i tyle anegdot, że można by te wspomnienia wielkiego pisarza czytać bez końca i żałować, gdy dotarliśmy wreszcie do ostatniej strony. Bo Fredro pisze o swoim kraju lat dziecinnych nieco innymi słowami, niż Mickiewicz w *Epilogu do Pana Tadeusza*, ale chyba nie mniej wzruszającymi:

„Ach, tak jest, miejsce urodzenia jest świętością dla serca, jest księgą, w której człowiek czyta aż do śmierci dzieje swojego szczęścia, bo dzieje lat dziecinnych. Sad za domem, ścieżka przez łąkę, kładka na strumyku, wszystko to rozdziały żywota oblanego światłem nieprzebranej miłości rodzicielskiej.” (s. 186)

Z perspektywy lat mógł też Fredro patrzeć na swe wychowanie nie tyle z rozrzewnieniem, co z humorem przebaczenia. Gdy charakteryzuje ówczesnych nauczycieli domowych, tzw. guwernerów, staje nam przed oczami historia kształcenia się Mikołajka Doświadczyńskiego pod kierunkiem cudzoziemskich oszustów, co udawali fachowych wychowawców, a byli nieukami i blagierami. Fredro nie szczędzi dla nich słów ostrego potępienia, nazywa ich wręcz boską plagą. Taki guwerner uczył wielu rzeczy, często muzyki i rysunku, a sam mało co umiał. Jeśli był nim jakiś emigrant francuski, to poza własnym językiem wiele nauczyć nie mógł. Oni nie posiadali żadnego systemu dydaktyki czy wychowania, dlatego każda zmiana guwenera była zmianą sposobu i porządku w naukach. Każdy nowy nauczyciel zaczynał od potępienia wszystkiego, co jego poprzednik próbował robić.

Fredro charakteryzuje kilku swoich kierowników wychowania i wykształcenia, ale najczęściej uwagi poświęca niejakiemu Płachetce. Apostrofuje go w słowach:

„O Płachetko! niech ci Bóg, przed którym już stoisz, przebaczy, ale ja nie mogę, żeś mój czas najpiękniejszy, od 807 do 809, zabił, zamordował bez litości. Książki w rękę nie wzięłam. Jeżeli czytał, to romanse. Mój ojciec, zajęty interesami [...] rzadko bawił w domu... Odpowiedzialność więc cała ciążyła na panu Płachetce. Pan Płachetko nic nie robił, nie robiłem i ja nic. Polowałem i jeździłem konno.” (s. 172)

Wymieniony Płachetko nie był jedynym nauczycielem Aleksandra, drugim był pewien muzyk, który przez cztery lata uczył chłopca muzyki, choć ten ostatni nigdy zrozumieć nie mógł, czego właściwie od niego żądają.

Mimo tak niedoskonałego wychowania i kształcenia młody Aleksander bardzo wczesnie poczuł ciągoty do twórczości literackiej, ale co o niej wiedział, to ilustruje pewien incydent, który mu się wydarzył już w czasie służby wojskowej. Napisał bowiem pewien humorystyczny wierszyk, który zrobił w pułku furorę. Ale nie wszyscy byli tym utworem zachwyceni —

„... jeden z kolegów, Dąbrowski (zginął pod Mołajskim), wziął mnie na stronę i zwrócił moją uwagę, że w kilku wierszach nie ma średniówki. — Średnió-

wki!... Co to średniówka? — zapytałem. Dąbrowski wytłumaczył, i to była pierwsza oraz jedyna nauka rymotwórstwa, którą w życiu otrzymałem.” (s. 175)

Zapamiętajmy to wyznanie: pierwsza i jedyna nauka teorii literatury, jaką przyszły autor *Zemsty* otrzymał; jest to najlepsza odpowiedź dana wszystkim, co chcą gwałtem wtłaczać go w ramy takiej czy innej szkoły literackiej, podczas gdy Fredro — jak to ostatnio wykazał Bogdan Zakrzewski — nie jest ani klasykiem, ani romantykiem, tylko i jedynie sobą, jak ów kot u Kiplinga, co zawsze sam na spacer chodzi.

Karty *Trzy po trzy*, wypełnione wspomnieniami dzieciństwa Fredry, roją się od anegdot, zwłaszcza myśliwskich, i przynoszą — jak to wyżej wspomniałem — znakomite portrety ludzi owego regionu i owych czasów. W *Panu Tadeuszu* zjawia się wyrażenie: „ostatnie egzemplarze” starodawnej Litwy, a tu Fredro obszernie charakteryzuje niejakiego Krzyżanowskiego, którego nazywa „może ostatnim egzemplarzem” dworaka, pieczeniarza, wyjadacza dawniejszych czasów. Pół błazna, pół szlachcica, wszędzie był domowym, umiejącym bawić ludzi opowiadaniem, o których wszyscy wiedzieli, że w nich albo słowa prawdy nie ma, albo bardzo niewiele. A jednak trzeba słyszeć takiego improwizującego łgarza, aby pojąć, jaki wdzięk mają te długie i szerokie, a co krok przeplatane epizodami opowiadania. Fredro wyjaśnia tajemnicę oddziaływania podobnych łgarstw:

„Niechby kto spróbował pisać słowo po słowie, co taki Krzyżanowski rozpowiada, i niechby potem kcmu odczytał, a pewnie znaleźliby obadwa, że słuchana z upodobaniem powieść jest tylko nudną i bez sensu ramotą. Skądże to pochodzi? Oto brakuje świeżości improwizacji, uniesienia rzetelnego, mimiki stosownej, figury charakterystycznej opowiadacza, a nade wszystko jego wiary, że wiarę wzbudza w słuchaczach. Słowem, trzeba prawdy kłamstwa, aby kłamstwo zająć mogło.” (s. 190)

Fredro pisał te słowa mając już za sobą ogromną większość swych najznakomitszych komedii i dlatego trafnie ocenił efekt wywierany przez gawędziarzy typu Krzyżanowskiego. Dostrzegł w nim przede wszystkim świetnego aktora, który całym zespołem środków ekspresji pozajęzykowej umie oddziaływać na słuchacza, choć mu przekazuje bezwartościową treść zawartą w słowie.

Doszliśmy w ten sposób do zagadnienia, jaki był stosunek Fredry do literatury w świetle takiego utworu jak *Trzy po trzy*. Pośrednie aluzje do dzieł literackich są tu nader częste, ale do jakich autorów i dzieł nawiązują? Dodajmy, że w swojej ogromnej większości mają one charakter żartobliwy.

O jakimś kontakcie z Homerem świadczy wzmianka, że autor z powodu kłopotów, jakich nabawił go ordynans Onufry, chce śpiewać „Achilla gniew zgubny”. O łatwych nominacjach na podporuczników' podczas formowania armii Księstwa Warszawskiego można było powie-

dzie z Plautem: „A więc, panie oficerze, co nie jesteś żołnierzem”.² O znajomości *Kupca weneckiego* wnioskujemy z następującej sceny podczas odwrotu z Moskwy:

„Widziałem konie gryzące z bólu skamieniałą ziemię, którym jakiś Szylok (sic!) nowy wykroił z uda parę funtów mięsa, skąpił jednego uderzenia nożem, i właśnie wtenczas, kiedy dobrodziejstwem było” (s. 100)

Najwięcej nawiązań do literatury francuskiej. Do *Fedry* Racine’a trzykrotnie; po raz pierwszy, gdy koń, na którym jechał, wywrócił się, a noga jeźdźca została w strzemieniu, ale na szczęście Tezeusz nie wezwał Neptuna i Neptun nie podgonił, bo inaczej autor *Trzy po trzy* byłby zginął jak Hipolit; po raz drugi, gdy cytując słowa Hipolita do Tezeusza: „Ainsi que la Vertu — la Crime a ses degres” uważa je z przeproszeniem pana Rasyna — za nonsens, bo występek kroczy po szczeblach, ale nie cnota; po raz trzeci, gdy wymienia nazwisko Wincentego Kopystyńskiego jako tłumacza *Fedry* i *Andromaki*.

Oczywiście *Don Juana* Molière’a ma Fredro na myśli, gdy nam mówi, że w pewnej sytuacji kiwnął na znak zgody głową, jak Komandor, kiedy przyjmuje zaproszenie Don Juana.

Z pierwszej satyry Boileau cytuje słynny dwuwiersz:

Je ne puis rien nommer si ce n'est par son nom,
J'appelle un chat — un chat et Rolet un fripon.

Do literatury niemieckiej odnoszą się dwie wzmianki: jedna o słowach księcia Alby do Don Karlosa, które miały być wielkim zgorzeniem dla ultraklasyków³; druga — to porównanie nocnej jazdy oficera sztabowego do pędu bohatera ballady Bürgera *Der wilde Jäger*.

Przejdźmy do literatury polskiej. Mamy naprzód zacytowaną maksymę ulubionego imiennika, Andrzeja Maksymiliana Fredry: „Pochlebstwo, chociaż się rzkomo odrzuca, smakuje przecie”. Złośliwą uwagę Krasickiego o Ryczywole spotkaliśmy już, gdy była mowa o Wincentym Krasieńskim. Z operetki Bogusławskiego, której tytułu nie podaje⁴, Fredro cytuje śpiewkę jakiegoś moralisty: „Pochlebiaj a będziesz szczęśliwy”. Z literatury nowszej cytuje zdanie z wierszyka Pajgerta⁵ i wreszcie parodiuje *Farysa* Mickiewicza, gdy opowiada, jak go kiedyś poniosła angielska klacz:

„Pędzę, Farys nowy... Konnica z drogi... karety z drogi... a kiedy już wyminąłem wszystko, co się ruszało, moja Ledi zatrzymała się i ja na niej.” (s. 164)

Bezimienną aluzję do stylu ówczesnych polskich recenzentów czyni Fredro, gdy zacytował użyty przez kogoś w pewnej sytuacji wyraz *du-reń* pisze: „Przepraszam za wyraz, ale historyczny — styl zaś zwiastował już grzeczność teraźniejszych recenzentów” (s. 127).

Że interesował się nie tylko poezją Mickiewicza, dowodzi fakt znajomości wykładów paryskich naszego poety. Chodzi w danym wypadku o pamiętniki generała Kopcia. Fredro znał go osobiście i twierdzi, że póki

nie mówił o Syberii, gdzie wiele musiał przecierpieć, robił wrażenie człowieka rozsądnego, ale gdy opowiadał o Syberii, tam była granica jego rozumu. Gdy bawił w Puławach, księżna Izabela Czartoryska zleciła kilku osobom, aby uporządkowały jego wspomnienia, ale to okazało się niepodobieństwem.

„I ten nieszczęsny — pisał Fredro — miał zostawić pamiętniki!!! I Mickiewicz rozwodzi się nad nimi!! A jednak Mickiewicz żył z osobami, co znały bardzo dobrze generała Kopcia. Wierzę tu owoczesnym pisarzom. Nie, ówczesni mogą tylko materiałów dostarczać, a dopiero później sąd światły, oczyściwszy je z błędów mimowolnych i błędów natchnionych duchem stronnictwa, może utworzyć Prawdę dziejów.” (s. 198)

Przytoczone tu aluzje do dzieł literackich każą nam zatrzymać się na tych kartach *Trzy po trzy*, które wiążą się z własną twórczością Fredry.

Zacznijmy od jednego wspomnienia o jego własnej psychologii twórczości w czasach, gdy — jak mówi — był niegdyś poetą. Wówczas kiedy myśl obfita przelewać się zdawała jak woda przez krawędzie przepelnionej czary, obstawiał się krzesłami, ażeby chcąc wstać od stolika trącić o nie i tak się zmusić do ponownego zajęcia miejsca przy stoliku. Inaczej, zrywał się z miejsca, biegał po pokoju, aż na koniec myśl jego, zbląkawszy się wśród mnóstwa skojarzeń, nie wiedziała jak trafić do swego gniazda. Po co Fredro nawiązuje do tego wspomnienia? Otóż po to, aby wyjaśnić metodę własnej narracji w *Trzy po trzy*. Zdaniem jego i tym razem należałoby tak postąpić:

„Należałoby ośroczyć mnie jakową poręczą, bo mam brzydki nałóg, a co gorzej, wątpię, abym się kiedy poprawił, zbaczać nieustannie z mojej ścieżki za lada bławatką, co gdzie zaświeci.” (s. 113)

Uwaga ta upoważnia raczej od odrzucenia hipotezy jednego z naszych krytyków (Wacława Borowego), że Fredro skomponował *Trzy po trzy* wzorując się na metodzie Sterne'a⁶, który wprowadza jednocześnie wiele wątków narracyjnych, żadnego na razie nie kończy i powraca do nich po pewnym czasie, opowiedziawszy po drodze rzeczy z danym wątkiem nie związane. Otóż w *Trzy po trzy* jest tylko jedna historia, która by do tej hipotezy pasowała. Mam na myśli opowiadanie o białym kolistym płaszczu, który Fredro sprawił sobie we Lwowie po powrocie z niewoli, a stracił w Gotha, gdy go skusiło do wygodnego przespania się łożko, ale takie, jakiego od kilku tygodni nawet widzieć mu się nie zdarzyło. Czytamy na s. 135:

„Zanurzyłem się wkrótce w puchu, nos mi tylko spłynął. Śpij zdrow, panie kapitanie, a my tymczasem powiemy, jaka była pod ten czas ogólna postać rzeczy.”

Długo trwało zreferowanie owej „ogólnej postaci rzeczy”, bo dopiero na s. 169 następuje wyjaśnienie, co było przyczyną utraty kolistego płaszcza. Ta przestrzeń tekstu od początku do jej końca wypełniona została tyloma zboczeniami ze ścieżki uporządkowanego opowiadania, że w tym jednym punkcie można mówić o analogii do narracji Sterne'a, ale

że Fredro wyjaśnił uprzednio swój nałóg kojarzenia i nieskrępowanego uszeregowania poszczególnych ogniw łańcucha wspomnień, chyba nie musimy się w historii kolistego płaszcza dopatrywać wpływu autora, który, wielkie pytanie, czy był Fredrze znany. Z przytoczonej wyżej aluzji do Szajloka, który u Fredry nazywa się Szylokiem, widać, że i ze znajomością Szekspira nie wszystko było w porządku, a skąd miałyby się wziąć zainteresowanie Sternem?

Na początku niniejszych rozważań wspomniałem, że opowiadanie Fredry o ludziach i zdarzeniach przeplatane jest nieustannie refleksjami, które składają się na jakąś całość jego mądrości życiowej i moralistyki. Można by o tych pierwiastkach treści *Trzy po trzy* napisać osobne studium, ale na tym miejscu ograniczę się tylko do jednej sprawy, o tyle ważnej, że ona się wiąże z bolesną decyzją Fredry wycofania się z naszego ówczesnego życia literackiego.

Chodzi o to, czy zawsze jesteśmy obowiązani mówić bliźnim prawdę, ewentualnie to, co nam się prawdą wydaje. Fredro występuje tu przeciwko tak zwanym weredykom, którzy z mówienia ludziom prawdy chępią się mówiąc: „Powiedziałem mu prawdę, aż mu w pięty poszło”. Autor *Trzy po trzy* odpowiada:

„Brawo! Ciąłeś jak chirurg, wpuszczałeś sondę w ranę bez względu na boleść chorego. Ale czyż to cięcie było koniecznie potrzebnym? Miałeś zaraz w drugim ręku kojący balsam?” (s. 74)

I teraz autor daje dłuższą analizę psychiki owych weredyków, którzy z tego rodzaju mówienia prawdy, a pytanie, czy rzeczywiście prawdy, czerpią poczucie własnej wyższości, rozkoszują się ciepłą kąpielą zadowolenia z samych siebie. Tu następuje usprawiedliwienie autora, czemu surowo ocenia działania tego typu ludzi:

„Proszę mi wybaczyć ten, że się tak wyrażę, gwałtowny wybryk przeciw weredykom. Bo taki weredyk stąpił kiedyś na serce moje i zgniół je raz na zawsze. Przyjaciel — stał się tłumaczem niby opinii powszechnej. Zapewnił mnie, że jestem nienawidzony. — Za co? — Nie wiedział, ale tak słyszał; zapewnił, że dążności moich dzieł są potępiane. — Dążności? Jakie? — Nie wiedział, ale tak słyszał... Odurzony odkryciem z ust tego, którego przyjacielem być mniemałem, a za tym i o poprzednim zgłębieniu z jego strony wąpić nie mogłem — opuściłem ręce i przestałem żyć i pracować dla świata.” (s. 75)

Fredro odkrywa tu przed nami najbardziej bolesną i nigdy niezagojoną ranę, jaką mu życie zadało. Wraca do tej sprawy po raz drugi. Mówiąc o tym, że zawsze prześladował go fatalizm błędnego rozumienia jego wypowiedzi, przekręcania jego najczystszych zamiarów, postępków, które wynikając z naszej indywidualności ściągają na nas ludzką niechęć, wyjaśnia, czemu przestał pisać:

„Połamałem moje pióro autorskie, nie — jak mniemano — dla równie złego jak głupiego artykułu bezimiennie ogłoszonego, bo autor sprzedał się obcej nieprzyjaźni, i to nieprzyjaźni za przyjaźń, za ważną nawet usługę. Porzuciłem

urząd, gdzie moja miłość własna mogła być ulec chęci ścigania za popularnością. Starałem się, jednym słowem, i zostałem „głupim dla świata”. Ukryłem się w cieniu głupoty przed cięciem, a jeszcze nieznośniejszym brzękiem człowieczych komarów, trutniów i bąków, a jednak i w tym gęstym cieniu nie mogę uniknąć zetknięcia się ze światem, które staje się dla mnie dotknięciem elektrycznego drutu, przykrym a często i bolesnym. Oskarżać świat cały — szaleństwo, oskarżać siebie — niesłusznosc. Dalej więc milcząc i nie myśląc, dalej po ostrej drodze, wypchnięty pielgrzymie! Każdy dojdzie kiedyś do swego Eisenach, ale czy płaszcz znajdzie, to wielkie pytanie.” (s. 170 - 171)

Ostatnie słowa odnoszą się do tego wspomnienia, że podróż z Gotha, gdzie zasnął i musiał potem do Eisenach iść piechotą, skończyła się utratą ulubionego płaszcza.

Wbrew twierdzeniu Fredry, że połamał własne pióro, stworzenie takiego dzieła jak *Trzy po trzy* jest najlepszym dowodem, że pisał dalej, ale — jak to się dziś zwykło mówić — pisał do szuflady; przestał pracować dla świata w tym sensie, że się wycofał z życia literackiego, nie drukował nowych utworów i nie wystawiał ich na scenie. Utrata kontaktu z odbiorcami jest dla każdego pisarza sprawą najbardziej dotkliwą, ale trudno mieć do niego żal o tak wielkie przewrażliwienie. Każdy prawdziwy artysta ma świadomość, że w tym, co tworzy, obnaża niejako przed światem swoje wnętrze. Czytamy w Nowym Testamencie przestrożę Chrystusa: „Nie miotajcie perłę przed wieprze” i jeśli jakiś artysta przeżył bolesne doświadczenie, że nadaremnie odsłonił przed ludźmi to, czego oni dostrzec nie umieli albo nie chcieli, jest rzeczą zrozumiałą, jeśli się wtedy zamknie w sobie i wewnątrz własnego przed nikim więcej nie pokaze.

Dzieje się tak zwłaszcza wtedy, gdy owo wnętrze odznacza się wyjątkową wrażliwością moralną. Zilustrujemy to przytoczeniem dwóch incydentów, opowiedzianych w omawianej tu książce.

Jeden wiąże się z historią utraty kolistego płaszcza. Cała wina była po stronie Fredry, który zasnął w puchowym łóżku, a jego gniew i żal skrupił się na ordynansie Onufrym; gdy bowiem po pieszej wędrówce z Gotha do Eisenach Fredro spotkał swego sługę —

„Wtedy, wyznając ze wstydem, wyznając ze szczerym żalem, przestałem być człowiekiem, a stałem się zwierzęciem — uderzyłem niewinnego, uderzyłem mocno pomimo przekonania, że on nie mógł czekać na mnie z końmi w Gotha, że nie on winien, iż zasnąłem w niemieckich puchach, że pieszo podróżowałem i że płaszcz straciłem. Trzeba było zemścić się, zemścić się na niewinnym. Wiercie mi, państwo, że tej czynności przebaczyć sobie nie mogę.” (s. 169)

Tak cierpi moralnie Fredro po 30 latach od chwili, gdy się ten incydent wydarzył, a przecież gdyby był człowiekiem o mniej wrażliwym sumieniu, mógł o tej sprawie nie pisać wcale.

Przekonajmy się teraz, jak ten człowiek reaguje, gdy wspomina o pewnej krzywdzie jemu zadanej, krzywdzie chyba większej niż owo uderze-

nie Onufrego. Rzecz dzieje się w czasie, gdy brał udział w odwrocie spod Moskwy, a później przebywał w Wilnie jako jeńiec i był świadkiem najokropniejszych objawów ludzkiego egoizmu i okrucieństwa w walce o utrzymanie własnego życia.

„Widziałem rannych rzuconych na drogę, bo zdrowszy, silniejszy zapragnął jego szkapy i powózki. Widziałem jeńców strzelanych, jeżeli który osłabł i dalej iść nie mógł. Widziałem budynki podpalone ze złości i zawiści, że inni w nich pierwsi znaleźli przytułek. Widziałem... tak, widziałem siebie, kiedy kolega, niby przyjaciel, sprzedał futro ze mnie, które mi był pożyczył, bo ich dwa zdobył w Moskwie. I ja głupi myślałem, że cudze oddać trzeba, nie napiętnowałem go przynajmniej hańbą, zmuszając, aby mnie własną obnażył ręką. I teraz nie rzucę jego nazwiska wzdarcie pocziwych ludzi. Nie był zły. Nie wiedział, co czyni. Umarł — niech mu Bóg przebaczy, jak ja mu przebaczam — jak przebaczam z duszy — serca i innym, co mnie odstąpili w ciężkiej potrzebie.” (s. 100 - 101)

Sądzę, że zestawienie tych dwóch wspomnień daje dostateczne pojęcie o charakterze i wrażliwości duchowej autora *Trzy po trzy*.

Tyle uwag nasunęło mi się przy czytaniu dzieła, które urzeka przede wszystkim bogactwem swojej treści. Niewątpliwie silny położyłem tu nacisk na element cierpienia ludzkiego, odtworzonego w tym utworze, ale w obrazie tamtej epoki, tak tragicznie zapisanej w historii naszego narodu, owa bolesna treść wysunęła się w moim osobistym odbiorze na czoło. Nie zapominajmy jednak, że wspomnienia te spisał komediopisarz i humorysta, który w najtrudniejszych nawet chwilach umiał się zdobyć na humorystyczny dystans wobec osób i wydarzeń. *Trzy po trzy* to nie tylko odtworzenie przeżyć narodu polskiego w latach 1809 - 1814, i nie tylko przepyszne malowidło obyczajowe epoki, gdy autor był dzieckiem i dorastającym młodzieńcem, ale także — jak to zaznaczyłem — kopalnia anegdot, których humor i komizm musiał się utrwalić w pamięci przyszłego autora najznakomitszych polskich komedii. I ten moment przyczynia się również do odbioru *Trzy po trzy* jako jednego z arcydzieł literatury polskiej.

Przypisy

¹ Opieram się na tekście, chyba najpoprawniejszym, opracowanym przez Krysztynę Czajkowską i ogłoszonym w t. 13 *Pism wszystkich* (wydanie krytyczne pod redakcją Stanisława Pigoń, Warszawa 1968). Wszystkie stronicie podawane w nawiasach odnoszą się do tej edycji.

² Trudno jest ustalić na podstawie przekładu, którym się posłużył Fredro, o jaką komedię tu chodzi. Wojskowi występują w różnych komediach Plauta. W przekładzie Gustawa Przychockiego nie odnalazłem zdania, którego treść byłaby zbliżona do cytatu u Fredry.

³ Jest to aluzja do słów ks. Alby w dramacie Schillera *Don Carlos* (akt II, sc.

5, w. 1412 - 1414). Komentarz Krystyny Czajkowskiej (wydanie cytowane, t. 13, cz. 2, s. 273 - 274).

⁴ Śpiewka pochodzi z opery heroikomicznej *Herminia czyli Amazonki* (muzyka Eisnera), Komentarz K. Czajkowskiej, tamże, s. 337.

⁵ Wiersz Józefa Kalasantego Pajgerta *Tajemnica na jawie* z tomiku pt. *Sielanki*. Lwów 1817. — Komentarz K. Czajkowskiej, tamże, s. 300.

⁶ Hipotezę tę stawia Borowy w znakomitym zresztą studium o *Trzy po trzy* w zbiorze pt. *Ze studiów nad Fredrą*. Kraków 1921.